

Tak naprawdę doktor Marian Owoc sporządził sobie maść wygrzewającą na bóle reumatyczne. Wtedy nie myślał, że zioła, które znalazły się w jej składzie, zmienią jego życie. Żył przecież w małym podkarpackim miasteczku, w Brzozowie, w którym nic się nie działo. Nie było tu nawet dworca kolejowego.

Ale kiedyś się oparzył. Chciał złagodzić ból, lecz nie miał niczego pod ręką, tylko ową maść. Posmarował oparzone miejsce i ból z miejsca ustąpił. Oparzenie zagoiło się też szybciej niż w takich przypadkach bywa. Efekt działania maści nie dawał mu spokoju i zaczął ją wypróbować na swych znajomych. Pomagała.

Po przeczytaniu w 1990 r. przedrukowanego z "Newsweeka" przez "Świat Medycyny" artykułu dowiedział się o chińskim lekarzu leczącym również za pomocą znanej tylko sobie maści oparzenia. Chińczyk miał do dyspozycji instytut i Narodowe Centrum Leczenia Oparzeń. Amerykanie sprawą się zainteresowali, gdyż koszty leczenia oparzeń są w USA olbrzymie - ciężko oparzeni muszą spędzać wiele tygodni w sterylnej izolacji, której utrzymanie sięga 2 tys. dolarów dziennie. Aby czegoś więcej się dowiedzieć o tajemniczej maści i metodach leczenia oparzeń stosowanych przez chińskiego lekarza, wysłali do Chin najlepszych swych specjalistów w tej dziedzinie.

Od tego czasu doktor Owoc zaczął dokumentować wyniki stosowania swojej maści, a gabinet, w którym prowadził doświadczenia nazwał Centrum Leczenia Oparzeń. Lekarze brzozowscy z przymrużeniem oka patrzyli na to co robił, zwłaszcza chirurgom nie mogło się pomieścić w głowie, że człowiek, który nie umie trzymać w ręce skalpela, bierze się za leczenie oparzeń.

- To robota tylko dla chirurgów - bronili swojego sposobu leczenia oparzeń.

Ale nie brzozowscy lekarze uważali, że w głowie coś mus się pomieszało. W całej Polsce tzw. specjaliści traktowali doniesienia z Brzozowa z przymrużeniem oka. Nie wierzyli, że żyjącemu gdzieś na prowincji lekarzowi, z dala od wielkich laboratoriów, udało się opracować lek pomocny w leczeniu oparzeń. Oni przecież posiadali tytuły naukowe, oni dysponowali

doświadczalnymi oddziałami i laboratoriami, oni wreszcie specjalizowali się w tym zakresie.

Swoją metodą leczenia oparzeń doktor Owoc próbował zainteresować Ministerstwo Zdrowia i Opieki Zdrowotnej, Izbę Lekarską, telewizję, radio i gazety. I dalej nikt nie traktował tego, co osiągnął poważnie. Był postrzegany jako jeszcze jeden maniak.

Był rok 1996. Ówczesny senator Roman Karaś, adwokat z Brzozowa, kiedy się dowiedział, że sprawa maści doktora Owoca ugrzęzła gdzieś w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej postanowił mu pomóc. Po jego interwencji, ministerialni urzędnicy sprawę przekazano do rozpatrzenia przewodniczącemu zespołu krajowego konsultanta medycznego w dziedzinie chirurgii plastycznej, dyrektorowi Szpitala Chirurgii Plastycznej w Polanicy prof. dr hab. Kazimierzowi Kobusowi. Ale on na podstawie przesłanej taśmy wideo, na której były zarejestrowane cuda, jakie działa maść przy nawet najcięższych oparzeniach, podszedł do sprawy, jak wszyscy dotychczas. Działanie maści wydawało mu się aż tak niewiarygodne, że w wydanej opinii napisał:

"Z punktu widzenia metodologicznego i formalnego, materiał przedstawiony na filmie jest bez wartości naukowej. Nieznana jest liczba chorych, ich wiek i płeć, czas leczenia, wielkość i typ oparzeń, wyniki oraz powikłania jakie wystąpiły w trakcie leczenia. W istocie nie znany jest także sposób postępowania, jako że nie podany jest skład maści."

Po takiej opinii sprawa maści doktora Owoca znowu w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej nie przedstawiała się najlepiej. Ale aby mieć z głowy senatora Karasia i doktora Owoca naczelnik Wydziału Lecznictwa Specjalistycznego w Departamencie Polityki Zdrowotnej i Lecznictwa MZiOZ lek. Małgorzata Drab zaproponowała doktorowi Owocowi, by się zwrócił do odpowiedniej placówki naukowej "celem rozważenia możliwości objęcia patronatu naukowego nad dalszymi pracami dotyczącymi sposobu leczenia oparzeń". Podała także adresy klinik w Warszawie i Gdańsku prowadzących badania naukowe w tej dziedzinie. Tymczasem wszyscy naukowcy i specjaliści, do których trafił doktor Owoc, oświadczyli mu, że bez ujawnienia składu maści, nie ma o czym rozmawiać. Podobnie stawiały sprawę polskie firmy farmaceutyczne, które chciał zainteresować maścią. Wiele wskazywało na to, że przede wszystkim zależy im na poznaniu składu maści.

Z drugiej strony chirurdzy krośnieńscy, którym doktor Owoc zrobił konkurencję w leczeniu oparzeń, postanowili się z nim rozprawić. Nie mając się do czego doczepić, zaatakowali go za szyld. Po interwencji Okręgowej Izby Lekarskiej w Krakowie doktor Owoc musiał zdjąć tablicę:

"Centrum Leczenia Oparzeń". Mijały kolejne lata i wszystko wskazywało na to, że nie ma najmniejszej szansy zarejestrowania swojej maści jako leku na oparzenia.

Bardziej poszczyściło się doktorowi Owocowi w Kanadzie. Tutaj ekspertka jednego z instytutów pracującego na rzecz Ministerstwa Obrony Narodowej Kanady, Julita Teodorczyk nie zawahała się w jednej z opinii napisać:

"Empiryczne dowody skuteczności leku są dla mnie wystarczająco przekonujące, aby uznać, że preparat doktora Owoca zasługuje na poważne zainteresowanie z punktu widzenia naukowego i klinicznego. Wyrażam też nadzieję, że otrzymam niezbędną ku temu pomoc ze strony odpowiedzialnych czynników administracyjnych". Pani Teodorczyk nie wiedziała, że doktor Owoc nie jest obywatelem Kanady, ale to wystarczyło, że kanadyjski biznesmen polskiego pochodzenia, Jerzy Maslanky postanowił doprowadzić do rejestracji maści jako leku.

Doświadczenie kanadyjskie dowiodło, że gdyby doktor Owoc żył gdzie indziej, najprawdopodobniej otrzymałby do dyspozycji nowoczesne laboratorium i sztab naukowców do pomocy. Pani Teodorczyk na zlecenie Ministerstwa Obrony Narodowej Kanady prowadziła w okresie kryzysu w Zatoce Perskiej prace nad specjalnym roztworem dla żołnierzy wojsk NATO do przemywania poparzeń, który przyspieszyłby ich gojenie. Opracowany przez nią roztwór okazał się nieprzydatny do powszechnego zastosowania. Był zbyt drogi, a przede wszystkim skomplikowana procedura przygotowawcza uniemożliwiała jego zastosowanie w warunkach polowych. Dlatego Ministerstwo Obrony Narodowej Kanady w dalszym ciągu poszukiwało preparatu, który spełniałby oczekiwania wojska. Dlatego pani Teodorczyk dokonała analizy dostarczonej jej dokumentacji. Takiego mniej więcej specyfiku na oparzenia poszukiwała.

Gdy przegląda się archiwum doktora Owoca można uwierzyć, że właśnie takiego specyfiku przeciw oparzeniom poszukiwało dowództwo NATO. Doktor Owoc ma w nim dziesiątki fotografii. Na jednych przerażająco poparzeni jego pacjenci; na drugich te same osoby, prawie bez śladu po tym, co się im przytrafiło. Oglądając te fotografie, każdy musi zadać sobie też pytanie, czy nie pada ofiarą jakiejś mistyfikacji. Ale do każdej z wyleczonych przez siebie osób doktor Owoc ma adres, można pojechać i dowiedzieć się jak było naprawdę.

Na fotografii, którą doktor Owoc najczęściej ogląda, Stanisław Sz. ze wsi Blizne. Na jego rękach, szyi, barku i boku widać rozległe oparzenia. Niestety spadło nań w czerwcu 1992 r. - podczas przedweselnych przygotowań. Szarek trzymał świński łeb nad naczyniem z palącym się denaturatem. Opałał sierść. Pomocnik, nie widząc płomienia w słonecznym świetle, chciał

dolać z butelki paliwa. Wtedy buchnął na niego słup ognia.

Sąsiedzi zawieźli go do szpitala. Miał oparzone 25 proc. powierzchni ciała. W jednym miejscu, na rękę, rana była aż do kości. Czekają go długie i bolesne leczenie, po którym miały pozostać rozległe blizny. Miał 21 lat i nie chciał być zeszpecony do końca życia. Od znajomych dowiedział się o maści doktora Owoca. Postanowił nie czekać i czym prędzej wypisał się na własne żądanie ze szpitala.

Doktor Owoc miał opory przed podjęciem się leczenia Stanisława Sz. Tak ciężkiego przypadku oparzenia jeszcze nie leczył. Od wypadku minęło cztery dni. Tymczasem jego maść najlepiej pomaga tuż po oparzeniu. Ale dał się namówić. Przez dwa miesiące codziennie jeździł do domu Szarka, który siedział na łóżku z ręką zawieszoną na sznurze umocowanym do powały.

Sąsiedzi Sz. dziwili się tylko, że doktor Owoc nie założył mu żadnych bandażów, jak lekarze w szpitalu.

Na fotografii zrobionej po wyleczeniu, na ciele poparzonego są dwie drobne, prawie niewidoczne blizny. Ręka jest w pełni sprawna.

Inna para fotografii. Na pierwszej 18-letni Robert P. z Nadolan ma poparzoną prawie całą twarz. Wygląda strasznie. Opałał denaturatem kaczkę i ogień uderzył na niego, jak w przypadku Szarka. Tyle pamięta. Leczenie trwało cztery tygodnie. Na fotografii zrobionej po kuracji doktora Owoca, po poparzeniu nie ma ani śladu, jakby nic się nie stało.

Podobnie sprawa miała się z Romanem M. z Brzozowa. W niewielkim pokoiku, w którym mieszkał, zapalił się abażur na lampce nocnej. Ogień chciał ugasić na korytarzu. Ale tam był przeciąg i płomienie buchnęły na niego. Roman M. został dotkliwie poparzony i trafił w ręce doktora Owoca. Maść znowu zdziałała cuda, po oparzeniu nie ma ani śladu.

Każdy, kto przegląda fotografie doktora Owoca musi zwrócić uwagę na to, że najwięcej jest poparzonych dzieci.

Historia Dorotki J. ze Starej Wsi jest jedną z wielu bardzo podobnych do siebie. Wylała na szyję i pierś szklaną dopiero co zaparzonej herbaty z sokiem. Dziecko nie mogło znieść bólu. Potworzyły się bąble, skóra schodziła. Kiedy doktor Owoc posmarował poparzone miejsca, dziewczynka poczuła się lepiej, a co najważniejsze ból ustąpił. Po dwóch tygodniach bawiła się już z koleżankami.

Kiedy doktor Owoc pomógł już ponad 300 poparzonym nieszczęśnikom sprawą na serio zainteresował się Jerzy Maslanky.

- Do maści przekonała mnie żona - zwierzał się pan Maslanky. - Oparzyła się w rękę i po posmarowaniu rany maścią szybko o przygodzie zapomniała. Przeprowadzone badania wykluczyły jej toksyczność w jakimkolwiek stopniu, a opinia pani Teodorczyk ostatecznie przekonała mnie do tego, że warto pomóc doktorowi Owocowi.

Wkrótce się okazało, że osobom z zagranicy łatwiej przełamywać procedury biurokratyczne w Polsce niż Polakom.

- Nikogo w instytucie leków nie znałem, nie odniosłem też wrażenia, abym był lepiej czy gorzej traktowany od innych - zapewniał pan Maslanky. - Byłem zaskoczony profesjonalizmem i kompetencją osób, z którymi załatwiałem sprawę. Tak naprawdę musiałby wszystkim osobom z instytutu podziękować za to, że nie stwarzały żadnych wydumanych barier biurokratycznych. Może najbardziej docentowi Wójcikowi, że od początku do końca sprawę traktował bardzo poważnie.

W Ministerstwie Zdrowia urzędnicy podeszli do sprawy bez rzucania biurokratycznych przeszkód, chociaż skrupulatnie egzekwowali wszystkie wymagane analizy, badania i testy oraz inne wymogi stawiane przy rejestracji nowego leku. 4 lipca 2000 r. maść doktora Owoca pod nazwą scaldex została wpisana po numerem 8176 do Rejestru Środków Farmaceutycznych i Materiałów Medycznych.

Wydawało się, że wszystkie przeszkody, które stały na drodze dr. Owoca zostały usunięte. Tymczasem sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Okazało się, że pan Maslanky zadbał, by

mieć prawie wszystkie prawa do maści. Sprawili to m.in. warszawscy wysocy urzędnicy, którzy na widok kogokolwiek z paszportem amerykańskim czy kanadyjskim stają na baczność, a gdy ktoś przyjeżdża do nich z takiego miasteczka, jak Brzozów, to traktują go jak natręta. Doktorowi Owocowi nie pozostało nic innego, jak rozpocząć walkę o maść, której opracował recepturę. Rok 2002 r. zapamięta jako wyjazdy po sprawiedliwość do sądu w Krakowie.

Henryk NICPOŃ